

STANISŁAW ROSIEK
Uniwersytet Gdański
Gdańsk

Przekleństwo nadmiaru? Notatki do referatu

Kiedy mówię lub piszę – jak to się już zdarzało – o znanej nam tylko w niewielkich fragmentach *Księżce pamiętnikarza* Peipera, o zaginionej *Księżce* Schulza czy o ukrytych w trumnie zwłokach Mickiewicza – wiem, o czym mówię i piszę. Wystarczy jednak, że zacznę myśleć i mówić o „polonistyce” czy – jeszcze gorzej – o „humanistyce”, tracę grunt pod nogami. Natychmiast rozpada się w palcach ów dziwny byt – „polonistyka” – ani wyłącznie rzeczywisty, ani intencjonalny. Mimo że jestem z zawodu polonistą (a zatem także humanistą), nie mogę liczyć na jej pomoc. Polonistyka nie daje mi przecież żadnych narzędzi opisowych i interpretacyjnych, bym o niej mógł kompetentnie rozprawiać. Mówiąc o polonistyce, przestaję być polonistą. Sięgam po cudze języki i po cudze dyskursy. Staję pomiędzy metanauką a polityką naukową. Nie da się ukryć – polonista mówiący o statusie swojej dyscypliny, o jej miejscu w świecie, o zarządzaniu nią, o jej rynkowych odniesieniach, staje się nieuchronnie dyletantem, który musi innych prosić o pomoc.

Ratować się może autorefleksją o wąskim zasięgu, wskazaniem na własne doświadczenia, wyznaniem lęków i obaw, niestosowną opowieścią o nocnych koszmarach lub przedstawieniem łzawej nadziei na lepszą przyszłość.

Oto więc one: moje autorefleksje (podsyte lękiem i nadzieją).

1.

„Wszystkiego jest dzisiaj za dużo. Zbyt wiele rzeczy (obok nas), zbyt wiele słów (pomiędzy nami) – w książkach, w gazetach, w telewizji, w Internecie...”.

Napisałem te słowa przed rokiem – późną jesienią 2010¹. Dzisiaj jest znacznie gorzej niż było. Z każdym dniem jest coraz gorzej. Nadmiar tekstów – i wszystkiego tego, co ze sobą niosą – jest obezwładniający. Wyznam szczerze: nie wiem, jak z tym sobie radzić. Zostałem wychowany, a także uformowany jako polonista w czasach niedoboru rzeczy i idei. Przyszło mi żyć w epoce nadmiaru. I nie jest mi łatwo.

Kiedy w czasach mojej młodości podchodziłem w księgarni do półek w dziale „literaturoznawstwo” lub „humanistyka” od razu wiedziałem, co nowego na nich się pojawiło. Oko niezawodnie wylawiało z szeregu książek okładkę, której jeszcze nie znałem. Wystarczyło raz na tydzień wpaść do księgarni i raz w miesiącu przejrzeć w uniwersyteckiej czytelni „Nowe Książki”, by mieć pewność, że panuje się nad tym, co inni piszą i wydają. Wystarczyło też – w tej samej czytelni – systematycznie zaglądać do kilku czasopism (takich jak „Pamiętnik Literacki”, „Teksty” czy „Przegląd Humanistyczny”, a także – uzupełniająco do „Twórczości”, „Odry” i „Poezji”), by wiedzieć, z jakim przyjęciem spotkały się publikowane książki. Przez lata bez wielkiego trudu byłem w stanie kontrolować całą literaturoznawczą i humanistyczną produkcję w Polsce.

Dzisiaj jest inaczej. Przytłacza mnie nadmiar, którego nie jestem w stanie ogarnąć.

Tak oto zaczyna się spełniać na coraz większym obszarze, z nadatkiem (i szerzej) prorocstwo profesora Janusza Sławińskiego, który przed laty – w epoce niedoboru – patrząc na przyrost prac o metaforze (przypomnę, że niegdyś był to modny problem badawczy), wyliczał, że jeśli to tempo się utrzyma, to za kilkadziesiąt lat każdy człowiek na świecie będzie miał na swoim koncie jakąś wypowiedź na jej temat².

Nawet profesor Henryk Markiewicz – o którym mówiło się niegdyś, że przeczytał wszystko, co na świecie ważnego napisano o literaturze – dzisiaj musiał chyba skapitulować. Tylko w Polsce pojawia się każdego roku około dwudziestu kilku tysięcy tytułów (w tym większość to nowości)³. Ile z tej liczby przypada na książki, które polonista powinien wziąć do ręki – tysiąc? dwa tysiące? Niech książek literackich i literaturoznawczych będzie nawet

¹ We wstępie do książki *Władza słowa. Szkice, notatki, świadectwa* (Rosiek 2011).

² Cytuję z pamięci, parametry czasowe są może w moim przytoczeniu inne, lecz intencja Sławińskiego – ta sama.

³ Od wielu lat każdego roku ukazuje się zaktualizowane wydanie książki (jeszcze jednej!) *Rynek książki w Polsce*. Jej autorzy – Łukasz Golebiewski i Kuba Frolow – zdają na bieżąco relację z rozwojem sytuacji.

tylko pięćset, to i tak okaże się to znacznie więcej niż każdy z nas jest w stanie przeczytać przez 365 dni. Zwłaszcza, że odkładać na później nie można, bo od nowego roku liczenie rozpoczyna się od początku. Książki są – jak wiadomo – magazynami idei, są też „narzędziami duchowymi”. Wymuszają więc na nas jakieś działania intelektualne, budzą jakieś emocje, czasem nawet wyciskają łzy. A zatem dużo – zdecydowanie za dużo jest także idei, emocji i łez.

Co z nimi zrobić? Jak sobie poradzić z tym nadmiarem? I z jego skutkami, które każdy wyliczy bez trudu (pierwszy: to rozpad dawnego ładu, brak centrum, załamanie hierarchii; drugi: niewydolność dotychczasowych procedur weryfikacji wartości; trzeci: coraz większa rozbieżność często skonfliktowanych języków i dyskursów; czwarty, który jest konsekwencją poprzednich: kryzys istniejących projektów dydaktycznych na wszystkich poziomach kształcenia)?

Przede wszystkim nie ulegać pokusom, których jest zawsze ponad miarę, jak w żywocie świętego Antoniego Pustelnika.

2.

Sytuacja, w jakiej tkwimy, przypomina jedną z wielu przygód Alicji w Krajinie Czarów. Spotkany przez nią Biały Rycerz, przeskakując w rozmowie od zdania do zdania, tworzył niekończący się szereg sensów. Gilles Deleuze w *Logique sensu* – powołując się na Fregego – dostrzegł w tym procesie rozmnażania się wypowiedzi „paradoks nieskończonej płodności”⁴. Ale jest też paradoks drugi. Deleuze nazywa go „paradoksem jałowego zdwojenia albo suchego powtórzenia” (Deleuze 2011, 56)⁵. Dzięki niemu można powstrzymać płodność sensu (a także regres w nieskończoność) – „to unieruchomienie zdania, uchwycenie go, choćby na chwilę, która wystarczy, aby wydobyć z niego sens, niby cienką błonę na styku rzeczy i słów” (Deleuze 2011, 56). Jeśli mielibyśmy potraktować to jako receptę dla nas, zalecałaby ona zawładnięcie sensem zastanej (cudzej) wypowiedzi nie w trybie podporządkowania jej wypowiedzi własnej (bo ta rodzi sens nowy), lecz znaczeniowej redukcji przez unieruchomienie, której efekt przypominałby „uśmiech bez kota” lub też „płomień bez świecy” (Deleuze 2011, 57).

⁴ Tak w dawnym przekładzie kilku rozdziałów *Logique du sens* przez Jacka Opieszyńskiego (Deleuze 1977). Autor wydanego niedawno tłumaczenia całej książki francuskie „paradoxe (...) de la prolifération indéfinie” przekłada jako „paradoks (...) mnożenia w nieskończoność” (por. Deleuze 2011). Przez lata przywykłem do wersji Opieszyńskiego.

⁵ U Opieszyńskiego: „paradoks sterylnego rozdwojenia lub czystego powtórzenia” (Deleuze 2011, 239). Tym razem kapituluję, choć dawny przekład wydaje mi się zgrabniejszy.

Mamy więc wybór. Obydwa paradoksy tworzą bowiem alternatywę: „uwieżenia w obiegu nieskończonej proliferacji” lub „katatonicznego znie-ruchomienia” (Deleuze 2011, 57). Możemy więc – w obawie przed nadmiar-em – powstrzymać nieskończoną płodność sensów (więc i tekstów) pogrą-żaniem się w stuporze, komunikacyjnym zerwaniem, jałową restrykcyjnością obróconą przeciw zmianie i rozwojowi – restrykcyjnością, która niejedno ma imię i sięga po różne narzędzia.

Niech się to wszystko wreszcie zatrzyma. Niech produkcja tekstów stanie. Bezruch sensu jest zwiastunem spokoju. Niesie nadzieję na odzyskanie nieu-stannie wymykającego się ładu.

Oto pokusa pierwsza. Jest i druga.

W uniwersum humanistycznym łatwo daje się wytyczyć granice wydziela-jące jakieś mniejsze czy większe terytorium. Niech się ono nazywa na przy-kład „polonistyka”. Można w jego obrębie odbudować dawny ład, dawne hierarchie i procedury – i powstrzymać tym sposobem proces niekontrolo-wanego rozrostu. Jest się wówczas wersologiem, badaczem twórczości Hen-ryka Sienkiewicza lub – co tu siebie oszczędzać – dziejów zwłok narodowe-go wieszczą. Bezpiecznie, spokojnie i swojsko jest jednak tylko przez chwilę. Wystarczy bowiem postawić pytanie uniwersalne – wytworzone przez jeden z będących w obiegu dyskursów humanistycznych (na przykład antropolo-giczny czy feministyczny), by nagle granice te pękły. Integralność „poloni-styki” upada, a ona sama rozprasza się w jakiejś uniwersalności czy global-ności badań genderowych czy antropologicznych. Na szczęście mało kto dzisiaj strzeże tych granic, choć są i tacy, którzy dobrowolnie zamykają się w tradycji polskiej refleksji literaturoznawczej, widząc w niej bezpieczne schronienie i wybawienie od piekła nadmiaru. Także w naszej dziedzinie istnieje ksenofobia. Ale też jest – jak wiadomo – niemało kosmopolityzmu, który bywa niebezpieczny nie dlatego, że lekceważy lokalne („nasze”!) war-tości (one powinny pozostawać w niekończącym się sporze z wartościami „cudzymi”), lecz dlatego, że odrzucając je niekiedy ryczałtem, pozbawia nas tym gestem ośrodka, wokół którego moglibyśmy stworzyć własny idiom i własny dyskurs. Zawsze przecież jesteśmy skądś – zawsze „stąd”, nie „ze świata” w ogóle.

Pokusa trzecia polega na szukaniu ratunku w grupie, w stowarzyszeniu się, a nawet w tworzeniu humanistycznej korporacji. Instynktownie pokusie tej ulegają najmłodszy, zawiązując grupy działające na rzecz wspólnego celu (chwalebna jest w tym względzie aktywność doktorantów). W pewnym stopniu tak było zresztą zawsze. Podstawą tego procesu jest tożsamość ge-

neracyjna. Ale dzisiaj ceną zyskania tej grupowej tożsamości jest dobrowolne zamknięcie się w granicach stosunkowo niewielkiej biblioteki, złożonej z książek, które należy i które wypada czytać.

Nieraz przewrotnie radzę początkującym doktorantom (mając nadzieję, że mnie nie posłuchają), by uważnie przyjrzeni się, jacy autorzy są dobrze notowani i wspólnymi siłami stworzyli rejestr właściwych (to znaczy: aktualnie głośnych) książek. Nie musi on być wielki. Taka biblioteczka doktoranta składać by się mogła co najwyżej z kilkudziesięciu tytułów – byle dobrze wybranych. Starczyć ona powinna doktorantowi na co najmniej dekadę. Przez habilitację do progu profesury.

Każdy z nas ma taką biblioteczkę. Nie widzę w tym niczego złego. W ten sposób tworzy się warsztat metodologiczny, buduje swoje idearium. Niedobrze jest tylko, gdy okazuje się, że są to te same biblioteki. A niestety są. Potrafiłbym chyba – gdyby to kogoś zainteresowało – przedstawić trzy (lub najwyżej cztery) biblioteki, które niepodzielnie królują w dzisiejszej polonistyce.

Te i inne pokusy mają jedną cechę wspólną. Ujawniają postawę obronną przed nadmiarem i jego skutkami. W taki czy inny sposób parcelują i redukują humanistyczne uniwersum. Warto więc (i trzeba) pójść inną drogą. Gdzie jej szukać?

3.

Kluczowe jest dla mnie jedno słowo, słowo kierunkowe – tym słowem jest „samodzielność”. A właściwie – w wersji rozłamanej etymologicznie: s-a-m-o-d-z-i-e-l-n-o-ś ć. Jest w tym słowie ukryta niechęć do wszelkiej stadności (czy zwłaszcza korporacyjności). Słysz się też w nim echo samotności i samotnictwa, życia w pojedynkę, na własny rachunek. Ale jest i dzielność rozumiana jako umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach (bez oczekiwania pomocy z zewnątrz).

Bo sytuacja nadmiaru, z którym nie wiadomo, co począć, jest istotnie trudna.

Pierwszy krok, by nad nią zapanować, (1) to uznać jej nieodwracalność. Porzucić nadzieję, że może uda się jeszcze kiedyś przezwyciężyć stan zróżnicowania, rozpadu i rozproszenia humanistycznego uniwersum. I nauczyć się w nim (z nim) żyć. Kolejne kroki mogłyby wyglądać tak:

(2) Raz na zawsze uznać, że w humanistyce ważniejsza niż kumulowanie wiedzy jest umiejętność certyfikacji i krytyki tekstów.

(3) Kształcić – w sobie i w innych – zdolność poszukiwania i selekcji informacji.

(4) Poprzestawać na małym. Uznać, że całość jest nam niedostępna i że tak będzie już zawsze, o ile ktoś (na przykład władza) nie wprowadzi zakazu pisania lub nie zadekretuje wyłączności nowej ideologii.

(5) Wiedzieć, co należy czytać, ale mieć również odwagę nieczytania tego, co czytają wszyscy. Opanować trudną sztukę przyjaznego odsunięcia, ominięcia, ryzykownego zignorowania.

(6) Postawić na idiomatyczność. Głosić jej pochwałę i otwierać w ten sposób pole dla własnego dyskursu. Nie bać się, że inni mówią inaczej niż my.

(7) Cierpliwie i z pokorą znosić przemilczenie. Pamiętając o kolejach życia Michaiła Bachtina, podejmować próby porozumienia i czekać aż ktoś podejmie propozycję dialogu. Równocześnie być przygotowanym na los pisarza NN z miejscowości X, o którym nikt nie wie, a jeśli nawet ktoś coś słyszał, to już nie pamięta.

4.

Żeby pójść tą trudną drogą – która jest niewątpliwie drogą cnoty – należy raz jeszcze odrzucić tylekroć już demaskowane przesady i złudzenia.

Zacznijmy od tego: czas kultury nie jest i nigdy nie był liniowy. Żyjemy w różnych czasach. Niektórzy nawet w innych epokach. Podobnym truizmem jest twierdzenie, że nie istnieje wartość absolutna lub choćby taka, która miałaby szanse na powszechne uznanie. Ale przypomnianie tych truizmów jest ważne i konieczne, ponieważ pozwala rozbić pewne złudzenie. Otóż bez idei czasu linearnego i bez ustanowienia nadrzędnej wartości (lub bez wiary, że została nam ona dana) nie można stworzyć wspólnego świata humanistycznego. Zawsze był on zresztą tylko złudzeniem lub świadomie, z powodów ideologicznych (czy politycznych) utrzymywaną fikcją.

Dzisiaj reaktywację tej fikcji wymuszają swoim przykładem nauki eksperymentalne, w których nastawienie na osiągnięcie wspólnego celu naukowego jest oczywistością. Jeszcze większy wpływ wywiera technologia i normy rozwoju, którymi się rządzi. Nowa technologia wypiera starą. Nie ma w tym świecie miejsca na pokojową koegzystencję wczorajszego i dzisiejszego. Wygrywa najlepsze rozwiązanie. W świecie humanistyki nie ma najlepszych – nie powinno być. Wskazania tego rodzaju są wstępem do unifikacji na wzór świata technologii.

A więc żadnej nadziei na wielką wspólnotę (i integrację). Jesteśmy skazani na osobność. I wieczne błądzenie w świecie humanistycznym.

Integracja zawsze była mitem. Kumulatywność w humanistyce jest tyleż niemożliwa, co niepożądana. Trzeba więc świadomie tworzyć i realizować politykę dezintegracji, rozproszenia, lokalności. Żadnych „centralnych ośrod-

ków badań”, żadnych „polonistycznych zjazdów”. Najwłaściwsza wydaje się struktura ziarnista. Piasek pustyni.

Przyszłość należy do małych wspólnot dialogowych (które raz na zawsze porzucą nadzieję na Wielki Dialog Humanistyczny Obejmujący Wszystkich). Miejsce tych małych grup, tych mikroświatów humanistycznych znajduje się dużo poniżej wspólnot interpretacyjnych Stanleya Fisha. Będą one bardziej lokalne, związane z terytorialnie rozrzuconymi społecznościami i dlatego niezależnymi od Internetu, internetowych promocji i wywyższeń. Przetrwają więc nagle spadki popularności. Wejdą do luźnej federacji światów osobnych.

Wszystko to wymaga zniesienia terroru osobowych hierarchii (autorytetów), których zdegenerowaną formą stały się listy rankingowe. Przypominają one bieg na sto metrów, którego zwycięzcę widzi tylko fotokomórka, bo dla ludzkiego oka sprinterzy wpadają na metę równocześnie. Cóż dopiero mówić o zawodach humanistycznych. Techniczno-matematyczna metoda ustalania pierwszeństwa i miejsca w szeregu tu wydaje się szczególnie zawodna i fałszywa. Obowiązywać powinny raczej kryteria stosowane w rzemiośle – czeladnicze wyzwolenie, które potwierdza humanistyczne kompetencje. Reszta jest kwestią umiejętności prowadzenia dialogu z innymi, szczęśliwego trafu, a nawet osobistego wdzięku.

A zatem – tylko jeden próg. Jedno dopuszczenie. Żadnych piramid w humanistyce. Jak najbardziej płasko. Jeden lub co najwyżej dwa progi w hierarchii (od której, jak się zdaje, nie ma ucieczki) muszą wystarczyć, żeby zaspokoić indywidualne ambicje i pragnienie kariery.

Nadmiar, niemożność ogarnięcia całości sprawia, że tracą ważność fundamentalne dystynkcje i rozróżnienia, wedle których przez wieki funkcjonował świat humanistyczny, takie jak: pierwszeństwo – wtórność (czy nawet epigonizm), oryginalność – naśladownictwo. Zastępuje je koherencja auto-kreacji, siła i skuteczność oddziaływania na innych.

Bo przecież ostatecznie nam, humanistom, nam, polonistom, nie idzie o to, by wychodząc od tekstów kultury (czy zwłaszcza literatury), tworzyć wspólną (jedną i powszechnie obowiązującą) wiedzę o człowieku i jego sprawach, lecz żeby być – i być z innymi. Z innymi ludźmi, z innymi Polakami. Rozumieć ich przynajmniej tak dobrze, jak siebie samych. I w tym wyjściu ku innym – powracać do siebie.

5.

Z zazdrością przyglądam się czasem moim młodszym o dwadzieścia lub trzydzieści lat kolegom, których polonistyczno-humanistyczne dzieciństwo

przypadło w nowym świecie. Oni znają wyłącznie nadmiar, nadprodukcję. I chyba wiedzą, jak sobie z nią radzić. Mają większe szanse niż my. Zdaje się, że powinniśmy się od nich uczyć.

Gdańsk–Katowice, 23–25 października 2011

Literatura

Deleuze G., 1977, *Logika sensu*, przeł. Opieszyński J., „Litteraria. Zeszyty Koła Naukowego Polonistów”, październik.

Deleuze G., 2011, *Logika sensu*, przeł. Wilczyński G., Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.

Rosiek S., 2011, *Władza słowa. Szkice, notatki, świadectwa*, Gdańsk: słowo/obraz terytoria.